



DOBRY POCZĄTEK

/ KOBIECE HISTORIE

O CALIĆ OD Z



A P O M N I E N I A



Maniucha Bikont. Śpiewa w wielu językach, gra na wielu instrumentach, uczy śpiewu, ale przede wszystkim **chroni przed odejściem w niepamięć muzyczne dziedzictwo, zbierając i nagrywając pieśni z terenów ukraińskiego Polesia.**

ROZMAWIA: Agnieszka Fiedorowicz

Dorastałaś w domu pełnym muzyki, ale i pisania: tata Piotr – muzyk i performer, mama Anna – pisarka i dziennikarka...

MANIUCHA BIKONT: Czułam, że pisanie to nie jest moja droga. Każde wypracowanie to była droga przez mękę. Za to do muzyki mnie ciągnęło, śpiew ciągle mi towarzyszył. Mój tata znosił do domu instrumenty, zabierał mnie na koncerty. Najpierw się przysłuchiwałam, z czasem włączyłam w granie. Pierwszy występ w Centrum Kultury przy Elektorальной w Warszawie – miałam osiem lat. To był koncert z zespołem Pociąg Towarowy. Tata recytował staroangielski poemat „Beowulf”, ja śpiewem wcieliłam się w rolę Matki i grałam na saksofonie sopranowym. Małym, ale i tak sięgał mi do kostek, opierałam go na krzeselku. Szybko oswoiłam się ze sceną, z publicznością.

Otaczał cię jednak inny typ muzyki niż ta tradycyjna, którą wybrałaś.

MB: Zdecydowanie! To była muzyka awangardowa, jazz, francuskie chansons z płyt winylowych. Gdy jeździliśmy na wieś, chodziłam z gospodarzem doić krowy i śpiewałam mu piosenki, które znałam: o diable z Alabamy, z Kabaretu Starszych Panów. Pamiętam piosenki, których nauczyłam się w przedszkolu.

My jesteście krasnoludki...

MB: (śmiech). Za czasów mojego dzieciństwa nastąpiło odrodzenie kultury żydowskiej w Polsce, chodziłyśmy z siostrą do żydowskiego przedszkola, więc śpiewałam takie piosenki, jak „Hevenu Shalom Alechem” czy „Hava Nagila”.

Mogłoby się wydawać, że ze względu na korzenie rodzinne pójdiesz w kierunku pieśni w jidysz lub w języku hebrajskim...

MB: Zdarza mi się śpiewać w jidysz, ale kierunek, w którym podążam, nie jest ▶

próbę. Nagrywałam śpiewaczki nie tylko na ławeczkach przed chatą, ale też spędzałam zimowe wieczory w chacie, w której okna są szczelnie zamknięte, gdzie w kącie kisi się ser, a gospodynie wystawiają na stół, aby nas ugościć, wszystko, co mają najlepsze: słoninę, nóżki w galarecie, kiszony pomidor... A to wszystko intensywnie pachnie! Ja od dziecka byłam nadwrażliwa, brzydziłam się pić ze wspólnej butelki. A tu

byłam gotowa zjeść zupę ze wspólnej miski. Te wyjazdy pokazały mi, że gdy mi na czymś zależy, jestem w stanie się przełamać.

Jakie historie są opowiadane przez te pieśni?

MB: Przeróżne. Są pieśni, które mają pobudzić przyrodę do życia, są o zakochaniu, ale najczęściej są to pieśni smutne, a nawet tragiczne. Śpiewaczki, bo są nimi głównie kobiety, przez śpiew

dzielią się opowieściami o trudnym losie, o ciężkiej pracy, o nieszczęśliwej miłości, o dziecku, które utraciły, o przemocy. Pieśni pozwalają wyśpiewać swój los i się z nim zmierzyć.

To rodzaj psychoterapii?

MB: Tak myślę. Próbuję na to pytanie odpowiedzieć w pracy doktorskiej, którą teraz piszę.

Ocalasz te pieśni od zapomnienia?

MB: Śpiewacy, których nagrywam, to w większości starsze osoby. Mieszkają często w niemal wyludnionych wioskach, z których młodzi ludzie wyjechali. Staram się ocalić nie tylko pieśni. Początkowo, gdy przyjeżdżałam, nagrywałam tylko pieśni, wyłączałam dyktafon, gdy się kończyły. Od pewnego czasu nagrywam cały czas – ich opowieści, komentarze do bieżących wydarzeń, odgłosy przyrody, gospodarstwa. Planuję wykorzystać te nagrania z backstage'u w projekcie, z muzykami i kompozytorami: Pawłem Romańczukiem i Cezarym Duchowskim. Chcę, by libretto opowiadało o mikroświecie tradycyjnych śpiewaków, bo gdy oni umrą, ten świat odejdzie razem z nimi.



To jest praca z delikatną materią, jaką jest ludzka pamięć, bo te pieśni nie są nigdzie zapisane, istnieją tylko w przekazie ustnym.

Jesteś trochę etnografką?

MB: Obie z mamą mamy w sobie coś z etnografek, tylko że ona opisuje Jedwabne i Radziłów, czyli wieś jak z filmów Smarzowskiego. Ja, może w kontrze, staram się wieś odczarować i wydobyć z niej to, co unikatowe, cenne, warte ocalenia.

Wracasz do niektórych śpiewaków?

MB: Mam swoje mistrzynie: Dominikę Czekun ze wsi Stari Koni, Nadię Jewsovicz ze wsi Perebrody, śpiewaczki ze wsi Kurczyca pod Żytomierzem. Miałam taki pomysł, żeby stworzyć śpiewnik jednej śpiewaczki, w którym zawarę jej pieśni. Ale to niemożliwe. Za każdym razem, kiedy przyjeżdżam, okazuje się, że jest coś, czego jeszcze nie nagrałam. To jest praca z delikatną materią, jaką jest ludzka pamięć, bo te pieśni nie są nigdzie zapisane, istnieją tylko w przekazie ustnym. Czasem ktoś, kto mieszka na jednym krańcu wioski, śpiewa inaczej niż ten, kto mieszka na drugim krańcu. O to, czyja wersja jest tą, którą „złożyli przodkowie”, wybu-

Mam to szczęście, że znalazłam swoją drugą połowę w gronie osób, z którymi dzielę miłość do tradycyjnej muzyki i podróży. Wspólnie zjeździliśmy niejeden koniec świata.

chają nieraz straszne kłótnie (śmiejch). Lata doświadczenia uczą swobodnego poruszania się w tej złożonej materii, spontanicznego dołączania do śpiewaków, ale ile ludzi, tyle interpretacji.

Grasz na wielu instrumentach...

MB: Jan Gaca, mój ukochany skrzypek z Przysławowic Małych, mawiał: „Jak ma się w głowie, to ma się i w paluszkach”. Zaczynałam od fletu, saksofonu, ze szkoły muzycznej wyniosłam umiejętność gry na fortepianie, gram też na tubie, akordeonie i klarncie. Lubię grać zwłaszcza do tańca. Kiedy pierwszy raz na Taborze Domu Tańca na Suwalszczyźnie zagrałam na potańcówce

na klarncie, wydało mi się to magiczne, że mój oddech podrywa ludzi do tańca.

Śpiewasz po polsku, ukraińsku, rosyjsku, w jidysz, działasz w pięciu zespołach, w wielu projektach, wydajesz płyty, tworzysz muzykę filmową i teatralną. Znajdujesz jeszcze czas na sen?

MB: (śmiejch) Mogę zawsze liczyć na wsparcie mojego partnera Michała Maziarza. Ze względu na małe dzieci już tyle nie jeżdżę. Zresztą lubię też wracać do domu. Mam nadzieję, że jeszcze wrócę do moich śpiewaczek. Chciałabym zabrać ze sobą moje dzieci, kiedy będą większe, i pokazać im świat, który tak kocham. Mam to szczęście, że znalazłam drugą połowę w gronie osób, z którymi dzielę miłość do tradycyjnej muzyki i podróży – wspólnie zjeździliśmy niejeden koniec świata, zakątki wschodniej Europy i Polski. Mój partner pochodzi z Kielecczyny, gdzie w niektórych wioskach można jeszcze spotkać takich śpiewaków jak na ukraińskim Polesiu.

Z mężem śpiewasz w kapeli Tęgie Chłopy. A dzieci śpiewają czasem?

MB: Czasem. Bywa, że nęcę pod nosem, a syn pyta: „Mamo jesteś w pracy czy tutaj z nami?” •



BIO: Maniucha Bikont, badaczka i pasjonatka muzyki tradycyjnej. Córka reporterki i pisarki Anny Bikont oraz reżysera, publicysty i krytyka kulinarnego Piotra Bikonta. Wokalistka takich zespołów, jak Tęgie Chłopy, Dżiczka, Niewte, Z Lasu. Gromadzi pieśni z ukraińskiego Polesia. Z kontrabasistą Ksawerym Wójcińskim nagrała płytę „Oj Borom, Borom”. Pracuje nad nową płytą z Marcinem Wichą, grafikiem, pisarzem i tekściarzem.

DOBRY POCZĄTEK

/ KOBIECE HISTORIE

związany z tym, jakie mam korzenie. Byłam dzieckiem, kiedy pierwszy raz usłyszałam tradycyjny śpiew z Polski wschodniej, z Ukrainy, i się nim zachwyciłam. Niespecjalnie interesowałam się swoim pochodzeniem. Wiedziałam, że jedna babcia jest Żydówką, i tyle. Dopiero koło trzydziestych urodzin zaczęłam się interesować historią rodziny. Okazało się, że dziadkowie pochodzili z pogranicza Rusi i Polski – jeden z Wilna, drugi ze Złoczowa.

Co sprawiło, że śpiew tradycyjny tak cię zachwycił?

MB: Pierwszy raz usłyszałam go, gdy odwiedzili nas koledzy taty z czasów jego współpracy z Jerzym Grotowskim. Zachwycała mnie moc, z jaką śpiewali, taka skupiona ekspresja. Poczulałam, że chcę śpiewać tak jak oni. Zaczęłam najpierw z tatą, potem od gimnazjum samodzielnie jeździłam na Letnią Szkołę Muzyki Tradycyjnej prowadzoną przez Fundację „Muzyka Kresów”. To był mój drugi świat, na który czekałam cały rok. Karteczki ze słowami pieśni, których się uczyłam, były dosłownie wszędzie,

w kieszeniach, na biurku. Przy umywalce naklejałam piosenki na trzy minuty – do mycia zębów. Gdy jechałam na narty, miałam piosenki dopasowane do czasu, jaki jedzie się konkretnym wyciągiem.

Kiedy zrozumiałaś, że to coś więcej niż hobby?

MB: W liceum miałam takie myśli: super, że się tym zajmuję, ale kiedyś trzeba się będzie zająć czymś na poważnie. Ale minęło liceum, zdałam na studia – kulturoznawstwo na Uniwersytecie Warszawskim, które okazało się bardzo przyjaznym miejscem do pogłębiania fascynacji wsią, teatrem i śpiewem. Zaczęłam jeździć na Ukrainę i nagrywać tradycyjne pieśni, koncertować, wydawać płyty. Okazało się, że śpiew może być źródłem utrzymania.

Pierwszy raz do śpiewaków na Ukrainę wyjechałaś...

MB: ...trzydzieści lat temu. Zabrała mnie Jagna Knittel, etnografka i śpiewaczka, która tam jeździła i gromadziła tradycyjne pieśni. Znałam wtedy sporo

pieśni, a przed wyjazdem nauczyłam się repertuaru ze wsi, które miałyśmy odwiedzić. Gdy po raz pierwszy usiadłam ze śpiewaczkami, a one zaczęły śpiewać, poczułam coś niesamowitego. Latami słuchałam podobnych pieśni na kasetach, potem kolekcjonowałam płyty i MP3, analizowałam, śpiewałam. Ale słuchanie tych utworów w starej, drewnianej chacie, przy piecu, z kobietami, które znały je od matek, babek i ciotek, było zupełnie innym doznaniem. To tak jakby dzieło sztuki znać ze slajdów i potem zobaczyć je w jego naturalnym środowisku i skali. Te pieśni w ustach śpiewaczek ożywają. Okazało się, że inaczej śpiewa daną pieśń jedna osoba, a inaczej, gdy są dwie czy trzy. Są zwrotki, które śpiewa się tylko w określonych porach roku, inaczej, gdy jest się w radosnym lub w melancholijnym nastroju – tych głosów, wariantów, interpretacji jest niezliczona ilość.

Śpiew okazał się doświadczeniem wielozmysłowym?

MB: (śmiech) Moje zmysły, a szczególnie węch, zostały wystawione na ciężką ▶

